

Mój Poznań

Dzisiaj, dnia 28 czerwca 2006 r. mija 50 rocznica tzw. "wypadków poznańskich". Oj, dobrze mi te „wypadki” utkwiły w pamięci!

W Poznaniu znalazłem się we wrześniu 1953 r – na egzaminach wstępnych na fakultet germanistyki Wydziału Filologicznego Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Zdałem i zostałem przyjęty.

Wcześniej, w czerwcu zdawałem do Wyższej Szkoły Handlu Morskiego w Sopocie. Zdałem, na 4, ale „z braku miejsc” nie przyjęto mnie na studia.

W sierpniu prasa informowała o wolnych miejscach na niektórych uczelniach, m. in. na germanistycie w Poznaniu. Ponieważ niemiecki jako tako znałem - jakby nie było, dzieciństwo (od 3 do 9 lat) spędziłem w czasie okupacji niemieckiej, chociaż Polak - wśród Niemców w Gdyni, a nawet chodziłem do niemieckiej szkoły dla Polaków (na ul. Leśnej – w baraku obok szkoły dla dzieci niemieckich), w której naukę przerwałem w grudniu 1944 r. będąc w III klasie. W szkole średniej (oczywiście już polskiej) niemieckiego nie uczono, ale zawsze byłem w klasie najlepszy w nauce angielskiego. Postanowiłem, więc zaryzykować studia germanistyczne i nie żałuję! Wiele tym studiom zawdzięczam: znajomość języków, dzięki temu później ciekawą pracę i podróże po świecie, zetknięcie się z ciekawym środowiskiem akademickim – w tym z profesorami i wykładowcami entuzjastami (!), no i pokochałem piękne miasto Poznań i jego okolice, dokąd już po studiach przez trzydzieści lat, okresowo rokrocznie, wracałem uczestnicząc w Targach Poznańskich jako handlowiec różnych central handlu zagranicznego, pracownik ambasady Kanady, czy też już pod koniec lat 80-tych – jako akwizytor przedsiębiorstw prywatnych.

Najpiękniejsze lata spędziłem w Poznaniu - w czasie studiów!

Zaczynałem je w wieku 17 lat, bo zacząłem naukę w szkole niemieckiej w wieku 6 lat, a po wojnie, dzięki temu, że Mama uczyła mnie i mojego brata Włodka polskiego, przyjęty zostałem od razu do trzeciej klasy, a ponieważ wówczas obowiązywała nauka w szkole 11-klasowej, maturę zdałem w maju 1953 r. mając dokładnie 17 lat! Na moim roku byłem najmłodszym studentem. Następny najmłodszy miał 19 lat, wielu komilitonów było już po wojsku (dwóch na egzaminach wstępnych – Jurek Gardziński i Czechu Jakubiec – „występowało” w mundurach, bo przyjechali na przepustce). Koleżanki były w wieku 24 do 30 lat (!). Dla mnie 17-latka były to „starsze panie”! W owych czasach ta różnica wieku wśród studentów była rzeczą normalną. Byli to ludzie, którym wojna pokrzyżowała losy i którzy nadganiiali utracony czas. Trzeba przyznać, że „władza ludowa” bardzo im w tym pomagała!

Wakacje studenci spędzali w miejscowościach rodzinnych, a pochodzili z całej Polski. Ja także wracałem do Łodzi i z bratem jeździliśmy z namiotem „w Polskę”, lipiec roku 1955 spędziłem jako tłumacz na Światowym Festiwalu Młodzieży w Warszawie, zaś w czerwcu roku 1956 miały się odbyć po dłuższej przerwie (chyba od roku 1950) kolejne Międzynarodowe Targi Poznańskie. Postanowiłem zrobić wszystko, by na tych targach pracować.

Moim wielkim atutem była znajomość niemieckiego i angielskiego, a w owych czasach, gdy kraj nasz odcięty był od świata tzw. „żelazną kurtyną”, ze znajomością języków nie było w Polsce najlepiej. Udałem się, więc do Działu Kadr MTP, a te skierowały mnie do Dyrektora pionu zagranicznego, p. Jaśkowiaka. Zrobił mi ad hoc autentyczny egzamin ze znajomości niemieckiego i angielskiego, które sam także dobrze znał i...przyjął mnie na stanowiska kierownika hali, tzw. halmajstra.

O ile sobie przypominam, targi te, rozpoczynając się w połowie czerwca, miały trwać aż dwa tygodnie. Wszystkie następne targi trwały już tylko tydzień i rozpoczynały się w drugim tygodniu czerwca, a więc kończyły się w połowie czerwca.

Mnie i mojemu znacznie starszemu zmiennikowi przydzielono hale 4, 5 i 6 (wzdłuż ul. Głogowskiej i narożna hala pomiędzy ul. Głogowską i Grunwaldzką) wraz z przylegającą powierzchnią odkrytą. Do pracy przystąpiliśmy ze znacznym wyprzedzeniem otwarcia targów i nadzorowaliśmy także przez pewien czas likwidację stoisk już po zamknięciu imprezy. Dokładnych dat już nie pamiętam, ale pracowałem na MTP gdzieś od początku czerwca do ok. 10 lipca. Moje biuro jako halmajstra mieściło się w przejściu pomiędzy halą 5 i 6, z oknem na ul. Głogowską. W każdym razie z moimi 20-ma latami byłem najmłodszym halmajstrem na targach.

Miałem w swoich halach ekspozycje RF Niemiec, W. Brytanii, Włoch i Szwecji. Na terenie otwartym pamiętam duże stoisko Mercedesa.

Na targach poczyniono wiele zmian architektonicznych. M.in. gruntownie przebudowano pawilon centralny – tzw. okrągłak, z ciężkiej konstrukcji na lekką konstrukcję z centralną „iglicą”, która przez wiele następnych lat była symbolem MTP. Pobudowano też wiele nowych pawilonów. Wszystko kończono w „ostatniej chwili”. Byłem przekonany, że będzie wiele nedoróbek i że po prostu nie zdąży się z wykonawstwem szeregu prac tak w hali 5, ale także np. z wykończeniem terenów zielonych. Prace trwały całą noc i w chwili uroczystego otwarcia targów przez premiera Cyrankiewicza przed pawilonem centralnym, wszystko było związane na przysłowiowy ostatni guzik!

Targi przebiegały bez zakłóceń i powoli zbliżał się ich koniec. Zaprzyjaźniłem się z wieloma delegatami z różnych krajów, poznałem sympatyczną polską recepcjonistkę na stoisku firm niemieckich powstałych po likwidacji IG Farben, bardzo przyjazny układ miałem z kapralem milicji – opiekunem moich hal, dostałem wiele drobnych upominków firmowych i za kilka dni wszystko już się miało skończyć.

28 czerwca panowała piękna letnia pogoda. Wszystko przebiegało normalnie, gdy nagle, gdzieś między godziną 10 a 11 rano, od strony ul. Głogowskiej zaczął dobiegać gwar ludzkich głosów. Od kolegów dowiedziałem się, że od strony Górczyna zbliża się jakaś demonstracja. Okno było takie wysoko, że żeby coś przez nie zobaczyć, trzeba było wejść na drabinę, którą na szczęście dysponowałem. Wszedłem, więc na nią, otworzyłem okno i własnym oczom nie mogłem uwierzyć: moje okno akurat mijają czołówka pochodu z transparentem z napisem „Chcemy chleba”! Strajk i demonstracja antyrządowa w kraju „socjalistycznym”? Toż to się w głowie nie mieściło! Na zajęciach Ekonomii Politycznej uczono nas przecież, że strajki mogą występować tylko w krajach kapitalistycznych!

Gdy ukazałem się w oknie, uczestnicy pochodu zaczęli do mnie wołać: „chodź z nami!” Odkrzyknąłem, że muszę pilnować podległych mi hal. Odkrzyknięto mi: „Nikt z nas nic ci nie ukradnie” i pewnie szczerze, ale było we mnie wystarczająco wiele sceptycyzmu, by nie poddać się entuzjazmowi uczestników pochodu.

Po pewnym czasie zaczęły dochodzić do mnie wieści, że na dworcu zabito jakiegoś pracownika UB (Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego), że tłum zaatakował budynek UBP, że trwają tam walki, że tłum zrzucił z dachu budynku ZUS na ul. Dąbrowskiego urządzenia zakłócające polskie audycje radiowe Wolnej Europy, Głosu Ameryki i BBC. Byłem nadal sceptyczny i niezbyt w to wszystko wierzyłem. Poradzono mi więc, żebym po prostu wyszedł przed halę, to usłyszę strzały! Tak też uczyniłem i.....usłyszałem!!!

A więc to nie plotki ani ludzka fantazja, to prawda! Klasa robotnicza zbuntowała się przeciwko władzy „ludowej”! Już później dowiedziałem się o przyczynie strajku i rozruchów i o zaskoczeniu komunistów. Geneza wypadków tkwiła niewątpliwie w ogólnonarodowej niechęci do systemu komunistycznego, do naszej podległości Sowietom, do próby obrzydzania ludziom wszystkiego, co zachodnie i w nachalnym narzucaniu wzorów wschodnich, podczas gdy społeczeństwo było generalnie anty-wschodnie, a więc jednoznacznie podatne na wpływy zachodnie. Bezpośrednią przyczyną wypadków była próba oszukania przez władzę „ludową” i partię „robotniczą” ludu i robotników, w tym konkretnym

przypadku – poznańskich. Obłuda tej władzy i partii przechodziła wszelkie wyobrażenia, aż trafiła na poznańską z natury – prostolinijność. Bezczelność władzy i partii przekroczyła wyobrażenia Poznaniaków, a konkretnie robotników z Zakładów H. Cegielskiego, ciągle jeszcze zwanych Zakładami J. Stalina, chociaż postać Stalina już niedawno została odbrazowana przez N. Chruszczowa na XX. Zjeździe KPZR. Robotnicy tych zakładów mieli w sobie tyle godności, że postanowili zaprotestować i...tak to się zaczęło.

Do robotników z Zakładów Cegielskiego (wówczas Zakładów im. J. Stalina, w skrócie ZISPO), wkrótce dołączyli pracownicy innych poznańskich zakładów i licznie przyłączali się mieszkańcy Poznania oraz ludzie szukający mocnych wrażeń.

Tłum podobno najpierw poszedł pod budynek komitetu wojewódzkiego PZPR. Wywołał ówczesnego I. sekretarza partii, tow. Wincentego Kraśkę, a gdy ten, nie mając jeszcze żadnych negatywnych doświadczeń z kontaktów z niezadowolonymi masami, wyszedł do tłumu i powiedział coś, co tłumowi nie przypadło do gustu, tłum go po prostu pobił! Stamtąd tłum poszedł pod więzienie na ul. Młyńskiej by uwolnić robotników podobno dzień wcześniej aresztowanych. W tłumie, obok strajkujących robotników i mieszkańców Poznania było dużo młodzieży, która przed kilkoma dniami rozpoczęła ferie letnie i przypuszczalnie coraz więcej mętów społecznych, o czym później sam mogłem się przekonać. Gdy więźniów nie chciano wypuścić, tłum wdarł się do budynku więzienia i do przylegającego sądu i wygzekwował wszystko, co chciał. Przy okazji uwolnił więźniów kryminalnych.

W budynku sądu tłum niszczył wyposażenie i rozkradł wszystko, co przedstawiało jakąś wartość. Od uczestnika tej akcji dowiedziałem się, że niektórzy z uczestników „zajazdu” na sąd dobrze się „obłowili” w magazynie dowodów rzeczowych. Dowody rzeczowe podobno znajdowały się w kartonach i były zapakowane w kopertach i pudełkach. Uczestnicy akcji nie byli w stanie brać więcej opakowań jak jedno, gdyż popychani byli przez następnych, którzy parli po swoją „dole”. Każdy brał, więc sprawiedliwie jedno opakowanie i przechodził do następnych pomieszczeń sądowych. Od jego szczęścia zależało, więc co opakowanie zawierało: pieniądze, zegarek lub kilka zegarków, biżuterię itp.

W więzieniu tłum dorwał się do broni, którą odebrano strażnikom i przejęto z magazynu broni.

Apetyt na broń się zwiększał. Inni też ją chcieli mieć. Tłum przypominał, więc sobie o magazynach broni w Studiach Wojskowych poznańskich uczelni. Opanował je i także tu znalazł pewną ilość broni.

Już uzbrojony tłum udał się pod budynek UBP, szczególnie znieawidzonego komunistycznego organu represyjnego, gdzie skoncentrowali się poznańscy UB-cy i gdzie doszło do strzelaniny.

W każdym razie, gdy po południu wyszedłem przed halę, strzały dobiegały już z różnych kierunków miasta. Po terenie targów chodziły hałaśliwe grupki młodzieży, ale nie dochodziło tam do żadnych ekscesów. Można by uznać, że sytuacja w mieście nie odbijała się na targach.

Ok. godziny 16-17 tej, gdy skończyła się moja zmiana, wyszedłem z terenu targów by trochę się „rozejrzeć” po mieście. Jako młodego człowieka oczywiście ciągnęło mnie w poblizkie miejsc, gdzie słychać było strzały, a te słychać było ze skrzyżowania ul. Roosevelta z Dąbrowskiego i mostem Teatralnym. Idąc ul. Głogowską i dalej Roosevelta już z daleka widziałem czołg stojący na ul. Roosevelta tuż przed wspomnianym skrzyżowaniem. Strzały dobiegały z wyższych pięter narożnego budynku i z karabinu maszynowego w korpusie czołgu. Po niebie z rykiem latały i pikowały jakby w kierunku skrzyżowania myśliwce odrzutowe. Ludzie mówili, że wykonywały zdjęcia. To możliwe, bo nie strzelały. Ale szum robiły nieprzeciętny! Przesuwając się z zachowaniem ostrożności w kierunku skrzyżowania, trafiłem do bramy budynku na Roosevelta, tuż przed skrzyżowaniem. Przed budynkiem tym

stał widziany przeze mnie wcześniej czołg. W bramie tej kryło się wielu ludzi. Nagle zauważyłem, że z pośród tych ludzi na ulicę Roosevelta wybiegło dwóch nastolatków z pepeszami (PPSZa – pistolet maszynowy piechoty) w rękach (pomyślałem: gówniarze!) i stając u boku czołgu zaczęło strzelać w kierunku po drugiej stronie skrzyżowania. Stamtąd też dochodziły strzały. Widocznie ktoś krył się w wykopie kolejowym ciągnącym się wzdłuż przeciwnej strony ul. Roosevelta. Do dzisiaj nie wiem, kto do kogo strzelał. Podobno Poznaniacy zdobyli kilka czołgów. Czyżby z okien narożnego domu strzelali UB-owcy, a w czołgu była załoga poznaniaków? Nie wiem! Oprócz czołgu – wojska nie zauważyłem.

Drogę do domu akademickiego w dzielnicy Winogrady uznałem za zamkniętą. Doszedłem też do wniosku, że w miejscu, gdzie się znalazłem jest niebezpiecznie i że najbezpieczniej będzie na targach, które w międzyczasie obstawione zostały milicją i nikogo, poza personelem, na teren targów już nie wpuszczano tak, że pod wieczór targi były już puste. Wracalem ulicą równoległą do Roosevelta, gdy nagle, jakby z poddasza jednego z domów, zaczęto strzelać. Nie wiadomo, do kogo! Na ulicy było tylko mnóstwo gapiów takich, jak ja. Ludzie rzucili się na ziemię. Ja oczywiście też. Gdy sytuacja się uspokoiła, szybko wróciłem na targi. Tam udałem się do budynku dyrekcji, gdzie Dyr. Jaškowiak poinformował mnie i mnie podobnych, że ogłoszono godzinę policyjną i jeśli mamy problemy z dojściem do domu, możemy przenoćować na terenie targów.

Dyr. Jaškowiak spał w swoim gabinecie, ja przygotowałem sobie miejsce do spania w jego sekretariacie. Na razie jednak, a był dopiero wczesny wieczór i ciągle jeszcze słonecznie, wymieniałem się wrażeniami z innymi w budynku dyrekcji. W tym czasie, a więc chyba koło godziny 18 – 19 tej zaczęły nadjeżdżać czołgi, czyniąc przy tym wiele jazgotu, oraz samochody z wojskiem, które rozładowywało się między dworcem Zachodnim a dyrekcją targów. Pamiętam, że biedni żołnierze byli lekko ogłupiali. Powiedziano im, że jadą na pomoc Poznaniowi, który zaatakowany został przez bandy imperialistyczne zdominowane przez Niemców ! Fantazja „Władzy Ludowej” nie miała granic!

Faktem jest, że jeden z moich niemieckich wystawców był we wczesnych godzinach popołudniowych w mieście, skąd wrócił prawie w euforii! Powiedział, że zaczepiony został przez jakichś ludzi, którzy, gdy dowiedzieli się, że jest wystawcą z Niemiec Zachodnich zaczęli na jego cześć wiwatować i podrzucać go w powietrze!!! Trudno mi w to było uwierzyć, bo ja z kolei stykałem się w Poznaniu z bardzo wrogim stosunkiem do Niemców, np. jeden z taksówkarzy zwierzał mi się, że on nigdy nie podwiózłby swoją taksówką Niemca! Życie mnie jednak nauczyło, że głupota ludzka nie ma granic i że wszystko jest możliwe! Coś w tej opowieści mojego niemieckiego wystawcy musiało być, bo pamiętam jego radość po przyjeździe z miasta! Z całą pewnością nie był to jednak prowokator.

To, co działo się w mieście już mnie jakby nie dotyczyło. Na targach był absolutny spokój. Milicja otaczająca targi wyposażona została w długą broń, na targach jej nie było widać. Cudzoziemcy albo wrócili do swoich kwater, albo nocowali na stoiskach targowych. Koło godziny 21-22 spotkałem znajomego z obsługi targowej, który namówił mnie, że zamiast spać w dyrekcji, możemy się przespać w jednym z zaparkowanych na terenie targów zagranicznych samochodów przy dobrej muzyce ! Pomysł przypadł mi do gustu. Okazało się, że większość zaparkowanych samochodów była otwarta, łatwo było więc pomysł wprowadzić w życie. A w dodatku, cóż to były za samochody! Na zachodzie panowała wówczas moda na tzw. krążowniki szos z tylnymi błotnikami w kształcie samolotowych stateczników, z tzw. atrapami jakby z paszczami rekina i tp. „zdobieniami”. W Polsce nie panowała jeszcze żadna własna moda samochodowa, bo w owym czasie Polska produkowała tylko samochody „Warszawa” – na licencji radzieckiej, które bardzo odstawały od ówczesnej zachodniej mody samochodowej. Samochód „Syrena” miał się ukazać dopiero za rok, a jego zaprezentowany na targach model budził ogólny zachwyt! O tempora, o mores!

Zasiedliśmy więc sobie w jednym z eleganckich samochodów, włączyliśmy sobie dobrą zachodnią muzykę i zaczęliśmy dzielić się wrażeniami.

Okazało się, że moje doświadczenia dnia były żadne w porównaniu z jego!

Mój koleżka miał przyjść do pracy na drugą zmianę, kręcił się więc w czasie opisywanych przeze mnie wydarzeń po mieście i w końcu dołączył do tłumu, a z nim dotarł do więzienia i sądu i był świadkiem i uczestnikiem wszystkich opisanych przeze mnie wcześniej tamtejszych wydarzeń. Przede wszystkim zdobył pistolet z amunicją, no i kopertę z dowodami rzeczowymi. Miał szczęście: w jego kopercie było kilka zegarków!

Z pistoletu postrzelał sobie, ale potem go wyrzucił.

W czasie, gdy tak sobie opowiadaliśmy, słuchając muzyki i paląc papierosy, gdzieś daleko słychać było strzały, a po ciemnym nocnym niebie biegły świeące paciorki pocisków.

W pewnej chwili mój koleżka nagle zaproponował mi wymianę: bardzo mu się spodobała moja zapalniczka – prezent od Mercedesa – z ogólnie znanym znakiem tej firmy. Zaproponował mi zamianę na srebrny kieszonkowy zegarek. Ponieważ w owym czasie zegarek to było coś, a ja w ogóle nie miałem zegarka, chętnie się na to „machniom” zgodziłem i w ten oto sposób stałem się beneficjentem wypadków poznańskich!

A w ogóle to dzisiejsza oficjalna ocena tych wydarzeń budzi we mnie, jako świadka ich fragmentów, tzw. mieszane uczucia.

Jak już wspomniałem, do strajku ZISPO dołączyły inne zakłady poznańskie, m.in. komunikacja miejska. Demonstracja robotników zamieniła się w demonstrację niezadowolenia całej ludności, bo do pochodu robotników zaczęli przyłączać się mieszkańcy niezadowoleni z rządu, partii i całego systemu, oraz różnego rodzaju gapie, młodzież i tzw. hołota. To przede wszystkim ten element kradł, a potem strzelał.

Zrozumiała dla mnie była niechęć do UB, do partii, tzw. władzy i w ogóle do komunizmu, ale strzelać do Bogu ducha winnych polskich żołnierzy?

Utkwił mi w pamięci taki epizod: następnego dnia, tzn. 29 czerwca, gdy miasto zostało już praktycznie biorąc spacyfikowane i pełno w nim było czołgów i wojska, od czasu do czasu wybuchała jednak gdzieś na krótko strzelanina, znalazłem się na ul. Dąbrowskiego, po jej lewej stronie idąc od skrzyżowania z Roosevelta w kierunku Jeżyc. Minąłem akurat rumowisko leżącego na ulicy sprzętu zagłuszaczy radiowych zrzuconego z dachu ZUS i zbliżałem się do pobliskiego kina. Nagle, jakby z nad kina zaczęły padać strzały! Na ulicy byli tylko polscy żołnierze i nieliczni przechodnie. Wszyscy zaczęliśmy się kryć po bramach i obserwować, skąd padają strzały i w kogo są wymierzone. Były wymierzone w żołnierzy chodzących po drugiej stronie ulicy. Strzelec strzelał ze szczytu budynku wystającego nad kinem, dach kina ograniczał jednak jego pole widzenia i pociski uderzały nad bramami i wejściami do sklepów!

Można by odnieść wrażenie, że aby jakiś ruch społeczny odegrał w historii jakąś rolę, konieczny jest przelew krwi. Wydarzenia poznańskie były w Polsce pierwszym spontanicznym masowym protestem tych, rzekomo, w których imieniu rządono. Potem przyszły następne protesty: w 1968 r w W-wie, w 1970 r – na Wybrzeżu, w 1976 r w Radomiu, W-wie, Płocku, potem w 1980 r „wybuchła” Solidarność i za 9 lat komuna przeszła do historii. Część tych ruchów społecznych była bezkrwawa i pomimo to każdy z nich pozostał w pamięci jako kamień milowy na drodze do wolności i niezależności. Wydarzenia poznańskie wcale nie musiały być krwawe, by o nich pamiętać. Wystarczyłby im przymiotnik „pierwsze”. To, że były krwawe wynikało z faktu dorwania się do broni hołoty. Dzisiaj tych, którzy bez rozkazu strzelali do polskich żołnierzy, którzy wykonywali rozkazy, nazywa się powstańcami! A moim zdaniem to była zwykła hołota kierująca się niskimi instynktami.

Dlatego też Wieczna Chwała poznańskim robotnikom, którzy pierwsi w Polsce odważyli się zademonstrować swoją godność i zaprotestować przeciw traktowaniu ich, przez

„ich” partię i „ich” rząd jak bydła roboczego, ale wieczne potępienie hołocie, dawniej zwanej tłuszcza, która nie daj Boże zdobędzie broń! Historia dała wystarczająco wiele przykładów na efekt:

tłuszcza + broń !Objęcie chwałą tych cywilów, którzy w Poznaniu strzelali, uważam za niemoralne. A swoją drogą, ciekaw jestem statystyk dotyczących ofiar wydarzeń poznańskich: ile osób zginęło po stronie „władzy” i wojska, a ile po stronie ludności. Jakoś sobie takiego zestawienia nie przypominam, a pewnie dałoby ono wiele do myślenia !